



**BOGUCICKIE  
OPowieści**





## WSTĘP

Drogi Czytelniku, oddajemy w Twoje ręce niecodzienny przewodnik po jednej z najstarszych dzielnic Katowic. Cóż jest niezwykłego w tej publikacji? Niniejsza broszura nie stanowi ani historycznego opracowania, ani typowego informatora dla turystów, a jej autorami nie są naukowcy czy artyści, ale seniorzy z Bogucic. Każdy z nich dzieli się tu doświadczeniami, wrażliwością oraz refleksjami na temat Bogucic.

Wszystkim zadaliśmy to samo pytanie: „Które miejsca w dzielnicy są dla Ciebie ważne i dlaczego?” Odpowiedzi stworzyły podstawę przewodnika po ich małej ojczyźnie. Podążając szlakiem wyznaczonym przez miejsca, o których opowiedzieli seniorzy, możemy przenieść się do czasów ich dzieciństwa, pierwszych miłości, poznać ich zabawy i życie organizowane wokół działającej w dzielnicy kopalni, a także to toczące się po jej zamknięciu.

Opublikowane historie zostały opowiedziane podczas warsztatów twórczych, które prowadziła Anna Nowak- pedagog teatru. Na spotkaniach ich uczestnicy dzielili się przeżyciami, wspominali czasy młodości, oprowadzali po dzielnicy i wskazywali zmiany, jakie zaszły przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Wyłaniający się z tych opowieści obraz Bogucic wielu może zaskoczyć, bo niektóre ze wskazanych miejsc uległy zupełnej przemianie.

W przewodniku znalazła się zaledwie część zebranych opowieści. Do udziału w projekcie zaprosiliśmy seniorów, młodzież oraz dzieci. Najciekawsze wydały nam się wspomnienia osób starszych, dlatego zachęcamy Państwa do poznawania dzielnicy z ich punktu widzenia. Historie zarejestrowane podczas warsztatów zostały wykorzystane również do realizacji spektaklu z młodzieżą, do uteatralizowanego czytania tekstów przez aktorów Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” oraz do zorganizowania rodzinnego spaceru śladem bogucickich stworów wymyślonych przez dzieci. Zgromadzony materiał był na tyle interesujący i bogaty, że można było na jego podstawie zrealizować kilka projektów animacyjnych.

Mamy nadzieję, że przedstawione historie zaciekawią i pozwolą Państwu spojrzeć na Bogucice z nowej perspektywy, a także dostrzec konkretne przykłady utożsamiania się boguciczankami z miejscem zamieszkania. Jesteśmy głęboko przekonani, że zamieszczone w publikacji opisy zachęcą do niejednego spaceru i do poznawania tajemnic małych ojczyzn.

## KOPALNIA WĘGLA KAMIENNEGO KATOWICE (1)

Bogucice to była dzielnicza górnicza i wszystko się kręciło wokół kopalni. Większość mężczyzn w niej pracowała, a w latach siedemdziesiątych mówiło się, że górnik żyje dobrze, ale krótko. I dlatego teraz jest tak dużo wdów i nie ma mężczyzn. W każdej zasadzie jest wyjątek i ja właśnie jestem tym wyjątkiem. Ale większość byłych górników zmarła. A dlaczego? Bo pracowali w piekle, bo dół kopalni to piekło: zapylenie, hałas, to wszystko. Co z tego, że on przepracował dwadzieścia pięć lat, jak po dwóch latach na emeryturze umierał... Był wycieńczony po prostu. Ja się jakoś uchroniłem, ale większość kolegów, z którymi pracowałem, zmarła, mając po pięćdziesiąt parę lat, może sześćdziesiąt. A jeżeli ktoś przyjechał na Śląsk do pracy, to na emeryturze wyjeżdżał w swoje strony. Dlatego dużo ludzi tutaj ubyło.

Czy górnicy pili więcej niż [wykonujący] inne zawody? No, ten kurz musieli czymś słucać. Najwiyncy się piwa piło, bo ono najwiyncy wyplukiwało.

Ja pracowałem do dziewięćdziesiątego szóstego, a kopalnię zamknęli w dziewięćdziesiątym dziewiątym. W pewnym momencie nasza kopalnia miała trzy i pół tysiąca załogi, tak że to była masa ludzi, niy? Na przykład jak na jesień kopalnia załatwiała nam na zimę ziemniaki, to ktoś zamówił sześć worków, ktoś cztery worki i jak przyjechał samochód na plac [na podwórko], jak wysypał te ziemniaki, to było dziesięć kupek i każdy pomagał. Cała rodzina przychodziła i się przebierała. Kopalnia wiele załatwiała – jabłka, cebula, boczek, karpie na święta, samochody na talony. I jeszcze takie coś: miałem piec, miałem węgiel, było czym palić, ale trzeba było wpięrow rozpałkę zrobić. To codziennie po dniuwcie był klocek do domu przynoszony i rąbany na mniejsze kawałki. A brało się te klocki z grubo [kopalni], bo większość zabudowy na kopalni była w drewnie, więc zawsze zostawały kawałki półmetrowe, metrowe. To po robocie każdy po prostu ucinął sobie klocek. Mówiło się wtedy: jak górnik wraca do domu, to mo szychta zrobiono [przepracował zmianę] i klocek pod pachą. Kopalnia dbała o ludzi, kto w niej pracował, to na pewno źle nie miał. Żył normalnie, jak człowiek.

Czasem było też bardzo niebezpiecznie. To nie kopalnia gazowa, ale kilka razy porządnie tąpnięto. Górotwór pracował i nikt tego nie mógł przewidzieć. Jak było tąpnięcie, to był moment i... cześć. Ja też miałem taki moment, ale mi się udało. Pracowaliśmy na rozcince ściany – uskok czterdzieści metrów. Dwunastu nas tam kierownik wysłał ze sztygarem. Poszliśmy, ale nie było drzewa [drewna] do budowania. Transportowcy nie dostarczyli, bo po drodze gdzieś mieli awarię. To sztygar mówi do nas sześciu: „Idźcie tam pomóc im z tymi drzewiarkami, żeby tu drzewo dostarczyć”. A sześciu zostało ze sztygarem przy ścianie. Tyle co żeśmy odeszli, może ze sto metrów, był wstrząs. Wracamy – nic nie widać, wszystko zapyłone, ale ściany nie było, strop się ze spągami zszedł. To było dosłownie z dziesięć minut, odeszliśmy te sto parę metrów... Jak rąbło – koniec. Nie było czego zbierać. Sześciu wtedy złapało, plus sztygar.

A ja? No co... To jest takie coś, że do końca życia się pamięta. To było jakieś szczęście, bo mogłem też tam być, niy? A że myśmy pracowali akurat z tyłu ściany, to nas wytypował, żebyśmy poszli po to drewno...

Potem nikt nic nie mówił. Nie odzywaliśmy się do siebie. Przez kilka dni była cisza. Każdy to przeżywał na swój sposób. Pewno że po czasie, jak codziennie trzeba było zjechać, to człowiek zapominał. Ale pierwsze dni – trauma straszna. Niektórzy się woleli wycofać albo poszli na L4, albo urlop sobie wzięli na tydzień, żeby te najgorsze dni przetrzymać. Bo najgorsze były te pierwsze dni po wypadku. Jak ktoś tego nie przeżył, to tego nigdy nie zrozumie. A jak człowiek przeżył to na własnej skórze, to wie, że to nie ma żartów.

Ja się przyjąłem na kopalnię w siedemdziesiątym roku. Wtedy polskie górnictwo było jednym z najlepszych na świecie. Wydobywało dwieście milionów ton węgla i żeby to wydobyć, tośmy pracowali wszystkie soboty i niedziele. Nikt się nie pytał: przyjdiesz czy nie. Nie przyszedłeś – to była twoja strata, przyszedłeś – to dobrze. Miesiąc miał trzydzieści dni, a ja miałem trzydzieści cztery – trzydzieści pięć dniówek. Ktoś zapytał – jak to możliwe? Bośmy w soboty pracowali na pierwszą zmianę, potem przychodzili na noc i zostawaliśmy na niedzielę, na rano. Czasami nowy pracownik po dwóch–trzech dniówkach mówił: „dziękuję za taką pracę”. Zostawali ci najtwardsi.

(Pan Edward)





Ja tu jeszcze przyniosłam to, co zostało mi po kopalni. Robiłam porządki w piwnicy i znalazłam taką rzecz. O, proszę zobaczyć... taki wózeczek, tylko nie mam kółek, bo gdzieś do woreczka włożyłam. To jest taki wazonik z napisem: KWK KATOWICE. Koła były mosiężne, ciężkie, ale zapomniałam, gdzie są. Tyle zostało po kopalni.

Kopalnia była fajna, chociaż nam bardzo brudziła. Ja mieszkałam tuż obok niej. Ale i tak wtedy było pięknie, bo mieliśmy za blokiem ogródki kopalniane, tam były kwiaty, było super. Jak mieszkańcy podlewali, to na balkonie miałam kropelki rosy.

Nieraz mąż nie wrócił ze zmiany. Przyszła godzina powrotu, a tu nie ma go, nie ma go, więc ja bosa nogi do kozaków i pędzę przez park. Nawet się nie bałam, leciałam dopytywać, co się dzieje. On nieraz musiał zastąpić kolegę i nie wyjechał, tylko został na następną zmianę. Były więc czasem takie sytuacje niepewności, ale kopalnia to była żywicielka, dawała pracę i pieniądze.

(Pani Jadwiga)

Kopalnia organizowała wycieczki autokarowe dla swoich pracowników, a panienki z Bogucic były wtedy na nie zapraszane. I właśnie wtedy chłopcy z hotelu zapoznawali się z nimi. Tak powstało bardzo dużo małżeństw. Potem dostawali mieszkania w nowych blokach. Z początku nasi chłopcy tępilili tych przyjezdnych. No bo to były nasze dziewczyny, a przyszedł przyjezdny i zabierał je. No to Ślązacy nie lubili tego. Bo gorole to zawsze są gorole. Ale znów naszym dziewczynom oni się podobali, bo byli jacyś przyjemniejsi i inteligentniejsi niż hanysy. Czasem taki chłopiec spod Krakowa czy Częstochowy tu przyjeżdżał i potem sprowadzał swoją dziewczynę. I tak powoli zaaklimatyzowali się i zaczęli się dogadywać ze Ślązakami. Teraz goroli jest więcej niż naszych. A my zgadzamy się z wszystkimi.

(Pani Krystyna)

## PARK BOGUCKI (2)

W parku zawsze były kasztany. Ten park to jest moje dzieciństwo, bo ja się tu [w Bogucicach] urodziłam i tam chodziliśmy na kasztany. W zimie na saneczkach jeździliśmy, tam był tor saneczkowy, z moimi dziećmi później też chodziłam. A w lato to był nasz „plac zabaw”, chociaż tam niczego nie było. Czasem bawiliśmy się w gułgi (rzucanie piłki do góry – kto złapie, ten wygrywa), dwa ognie, klipę (rzucano się monetą w mur i ona się odbijała), pomidora, klasy. Rowery takie były: bez dyntki, bez niczego, i mieli taki hak i jeździli. Piłki się samemu szyło, wzięto się taką szmatę i dociskało się drugie szmaty i się zszywało. No, takie zabawy, takie place zabaw wtedy – w latach pięćdziesiątych – mieliśmy. Ten park istnieje. Teraz go remontują.

Karuzele to były tylko na odpust albo na festyn. Pamiętam, na festynach takie konkursy robili, na przykład pal stał, oni go namydlili i coś tam dali (albo szampan, albo coś) i przeważnie panowie wchodziłi na ten pal. Dzieci to bawiło, taka atrakcja to dla nich była. Ale to od wielkiego święta tylko, a na co dzień były kasztany. Zawsze w szkole trzeba było robić z nich, albo z żołądzi, coś, jakieś ludziki. Moja babcia kładła sobie kasztany pod materac, bo mówiła, że to jest dobre na stawy, że chorobę wyciąga. Dzieci zbierały, a dorośli wkładali do tapczana.

(Pani Gertruda)

My z żoną poznaliśmy się tutaj w parku, w Bogucicach. To było w sześćdziesiątym ósmym roku, 22 lipca na festynie. Kopalnia organizowała festyny – 1 maja i 22 lipca. Park wtedy trochę inaczej wyglądał, bo muszla była, krong [krąg taneczny] i wieczorem tańce. Żona pochodzi z Dąbrówki, ale przyciągnęły ją Bogucice.

To był lipiec. Tam dalej, jak nasze osiedle, teraz ulica Ścigały, to kiedyś ciągnęły się tylko pola. Stały snopki, tośmy z kolegą w nie poszli, jaból do rynki – leżeliśmy se i popijali fajne wino, bo po południu miał być festyn. Przecież to święto było – czerwony dzień w kalendarzu. Wypiliśmy po wintu i potem na zabawę! No i dziewczyny z Dąbrówki też się pokazały. Trzeba je było poderwać, bo bez pary przyszły! Były występy i od dwudziestej potem tańce na tym kryngu. Muzyka na żywo. A potem aleją szliśmy w nocy na pierwszy spacer aż na Dąbrówkę, bo autobusy nie jeździły, tramwaje nie jeździły. To było pięćdziesiąt jeden lat temu.

(Pan Edward i Pani Regina)

Park był wtedy bardzo duży i popularny. Teraz została go już jedna trzecia, bo dużo zniszczyli pod budowę tego muzeum. Teraz park świeżo odnowiono, alejki porobiono. Ale amfiteatr zniszczyli. W parku stały budki z piwem. Był taki okrągłak i tam piwo sprzedawali od rana do wieczora. Jak żeśmy wyjechali z nocki, to już od szóstej rano piwo było. Ale samo piwo, bez [innego] alkoholu. Niektórzy to po nocce zostawali i już tam w skata grali. Jak był bar, to dokoła mnóstwo piwoszy. Górników zawsze siedziało tam pełno – prosto z szychty [z roboczej zmiany] na piwo i do domu (jeżeli się jeszcze doszło). Zależy, kto pił. Nie wszyscy. Ja, pracując w maszynie wyciągowej, raczej nie mogłem sobie pozwolić.

(Pan Edward)



*na dole była górnicza stołówka*



*całe obiady  
takie pyszne*



*w szkole też był kiedyś hotel*



*puszczali filmy powojenne*

*Była tu orkiestra górnicza*

### O STOŁÓWCE PRACOWNICZEJ I HOTELECH PRACOWNICZYCH (3)

Naprzeciwko parku, na dole była górnicza stołówka. Całe obiady [można było kupić], takie pyszne, że nawet braliśmy słoiki do domu, to parę złotych kosztowało. Na stołach stały pojemniki z takim pomarańczowym proszkiem. Górnicy mówili: „Weź se tej cegły trochę” i wsypywali sobie do flaczków, do bigosu. To była przyprawa, taka z papryką – taki trochę „pieprz ziołowy”, ale to nie było ostre.

Tam blisko [stołówki] stały jeszcze trzy hotele pracownicze dla młodych chłopców. Hoteli już tam nie ma, ale budynki są. To było na Ścigały i za szkołą. Zresztą w szkole też był kiedyś hotel. Mój mąż mieszkał w Hotelu nr 1 na pierwszym piętrze. Przyjechał na Śląsk, to miał czternaście lat. Zamieszkał w tym hotelu, chodził trzy lata do górniczej szkoły zawodowej. Dopiero jak ja przyjechałam z Głównicy, jak się poznaliśmy, to zamieszkaliśmy razem – jak na Ścigały domy wybudowali.

(Pani Maria)

### MIEJSKI DOM KULTURY „BOGUCICE-ZAWODZIE” – UL. MARKIEFKI 44A (4)

Ja pamiętam dom kultury, jak puszczały filmy powojenne – takie propagandowe: jak to było, jak teraz jest, jak to Gomułka wszystko robi. Pamiętam, że byłam kiedyś z moją babką. My siedzieli w pierwszym rzędzie i babka takiego szumu narobiła, jak na ekranie zobaczyła, że jedzie pociąg. Ona się darła: „Ludzie, idymy do dum, bo pociąg mnie przejedzie!!!” Tak się babka darła, że musieli projekcję skończyć i my szli do dum... Co ja miała z nią!

(Pani Irma)

Była tu orkiestra górnicza, która w domu kultury ćwiczyła. Nawet mój młodszy syn w niej grał. I wyjeżdżali za granicę, byli z występami w Niemczech, w Austrii. Jak syn się ożenił, to już z tego wyszedł.

To było dobre, bo orkiestra szła przez Bogucice, a przed Barbórką to zawsze pod domami grała. Teraz może jeszcze też, ale mało już jest górników. Wtedy już o szóstej rano orkiestra górnicza przychodziła pod domy zasłużonych górników i im grała. A dzieci lecieli za nimi.

(Pani Krystyna)



## KINO MILLENIUM – ULICA MARKIEFKI 59 (5)

W tym kinie cała młodzież się spotykała. Ja chodziłem na każdy film. Tam, naprzeciwko kościoła, gdzie teraz po przekątnej są takie kioski, stał kiedyś budynek pierwszej szkoły parafialnej w Bogucicach. Później był tam komisariat policji, a potem, już po wojnie, budynek mieszkalny. I na nim wisiała tablica z repertuarem kina. Miałem tam blisko z [ulicą] Wajdy, więc na bieżąco, jakie tylko filmy w kinie leciały, to je zaliczałem. Wtedy bardzo modne były westerny, to była podstawa dla młodzieży, na przykład „Rio Bravo”.

W kinie kopalnia organizowała też na przykład zabawy na mikotaja. Każde dziecko pracownika dostało jakiś prezent. Moje dzieci też tam chodziły. Cała sala pełna rodziców z dziećmi, rok rocznie coś takiego urządzali. Wcześniej, zanim kino powstało, to takie imprezy były w domu kultury robione.

(Pan Franciszek)

Kiedyś poszli my do kina, na tą Cosel, na „Hrabinę [Cosel]”, kiej leciała. A synowi powiedziałam: „nie ma otwierać [drzwi] nikomu. Ani okna! Jakby ktoś pukał, dzwonił, nic, nic, nie otwierać! Wtedy mieszkałam na parterze. No i my z kina idziemy... Cholera, na klatce czuć! Jeszcze wtedy miałam pierzyny. A syn przerzucił pierzynę na nocną lampkę i ta pierzyna się tliła. On siedział w ubikacji. Zamknął się i nie otworzył, bo czad był. Dziecko trzy lata! My wpadli [wpadliśmy], zaraz otworzyli okno, bo to przecież pożar, tak była wypalona ta pierzyna!

I ten film to był ostatni, na jaki żek tutaj przyszła do tego kina. A ja chodziłam na każdy, mnie się każdy film podobał. I dzieci potem też. Ten drugi syn chodził na poranki – najpierw szedł do kościoła, a potem do kina. Bajki w niedziele puszczała. Jak ta pierzyna się spaliła, to już więcej dziecka nie zostawiłam samego. A nie miałam kogo prosić [żeby z nim został], mama mi zmarła, tak że nie miałam kogo. Musiałam go wszędzie brać.

A w ten dzień właśnie w tym kinie małżonek tak się bawił obrunczką, że mu spadła. My tam chodzili trzy dni z rzędu i szukali. Powiedzieli, że jak znajdą, to oddadzą, ale nikt nie znalazł. I tak mąż bez obrunczki został, bo nie kupiłam drugiej. Takie mam z „Millenium” wspomnienie.

(Pani Gertruda)

Ja też chodziłam do kina. Nawet seanse nocne były. Od wieczora – od dwudziestej drugiej, do rana – do szóstej. Raz na dwa–trzy miesiące był taki nocny seans. Wtedy puszczała trzy filmy razem. Różne filmy puszczała.

(Pani Regina)

Na „Rio Bravo” to byłem chyba z siedem razy. Wtedy bilety kosztowały pińć złoty. A na poranki, w niedziele o jedenastej, to po dwa, trzy złote. Na film wieczorem też po pińć złoty. Jako chłopcy to my latali na korty tenisowe zarobić i dawaj na film. Kiedyś tam, gdzie dzisiaj jest Uniwersytet Śląski, nasz klub Górnik 20 Katowice miał swoje boisko i obok były korty. I takie chłopcy, po dziesięć–dwanaście lat, żeśmy tam latali, piłki podawali, śmieci wynosili. To ten gospodarz zawsze dał nam dwa–pińć złotych, zależy ile godzin tam byliśmy. A czasami i do wieczora, to się zarobiło ta pińćka, kupiło się czerwonej oranżady, no i na drugi dzień – do kina. Na „Rio Bravo” to bez przesady z siedem razy byłem.

(Pan Edward)







## CYGANIE – UL. ŻOGAŁY (6)

Tabór cygański zawsze tu był na Żogały i na Katowickiej, tam gdzie Dwór Maryny. Tam każdego roku tabory cygańskie odjeżdżali i przyjeżdżali na lato. Dużo kobiet tu się pożeniło z Cyganami. Tutaj była taka Róża, ona tu potem przyjeżdżała, była bardzo dobrze traktowana. Pamiątkom, dwanaścioro dzieci miała – na oknach wszystko wisało. Oni kotły robili, patelnie. Ich kobiety były bardzo czyste, do wieprzowiny mieli osobno garnek, trzymali tam higienę.

W Pekinie osiadły [Cyganie]. Tam w jednej klatce mieszkała Cyganka – wiekowa wdowa. Kobieta bardzo OK. A jaki pogrzeb był! Ona się zachowywała, jak Polka. Siadała z nami na ławeczce, opowiadała. Ale inni to się trochę izolowali, nie przychodzili. A ile ich było! Cały plac, wszystkie ławeczki, bo to taki śląski zwyczaj, że wychodzi się z klatki i sie godo – to oni wszystkie ławeczki pozajmowali. Ale poznikali teraz, wyjechali.

Raczej wrogość była, bo jakby kto pożyczył im dziesięć złotych, to już niy dostał. Ale nie wszyscy. Byli tacy, do których chodziłam. Mieli dużo dzieci. Koleżanka matka była położną, to ona tam porody odbierała, no i my tam poszli. Byli bardzo gościnni, bardzo religijni, bardzo czyści. Tam jedna, druga, trzecia córka wiedzieli, co kto ma robić. Nie tak jak u nas, że: ty zrób to, a ty to. Oni przychodzili do nas, płacili nam za wyngiel, my zawsze wyngla mieli dosyć, to oni od nas kupowali. Oni nie kradli.

(Pani Dorota)

## DOM PANA ANTONIEGO - ULICA MARKIEFKI 72 (7)

Urodziłem się 1934 roku. Prawie całe życie mieszkałem w Bogucicach – jest tam krzyż, a za krzyżem była restauracja i na pierwszym piętrze [w tym budynku] mieszkałem. To był prywatny dom Biebrzyckiego na Markiefki 72. Tam mieliśmy trzy pokoje z kuchnią. Ten budynek jeszcze stoi. Naprzeciwko nie było żadnego domu, tylko duży sad i ogród. Do sadu chodziliśmy na gruszki.

W czasie drugiej wojny światowej sporo przeżyłem. Na przykład te „Verdunkelung”, czyli „zaciemnienia”. Wtedy nie można było zapalać światła. Maltretowali nas z tymi zasłoniętymi oknami – musieliśmy takie rolety zakładać, żeby światła nie było widać. Wtedy na ulicach było ciemno. Kiedyś Niemcy wpadli do nas i jeden z nich strzelił do taty, i w podłodze zrobił dziurę. Twierdził, że z naszego mieszkania światło pada na ulicę.

Za krzyżem był niemiecki magazyn, tam mieli te „Maggi” i puszki z jedzeniem. I my kiedyś włamanie zrobili. Wynieśliśmy kupę towaru, między innymi ze dwa wiadra zupy. Później mieliśmy co jeść.

Podczas wojny była taka zima, że napadało półtora metra śniegu. Jak Niemcy przyszli, to każdy lokator musiał wychodzić i chodnik, i pół ulicy wyczyścić ze śniegu, i robić takie zaspę. One miały z półtora metra i był odśnieżony tylko ganek, żeby na ulicę można było wyjść.

W czasie wojny, jak Niemcy szli, to poszły dwa strzały w okno ciotki, to dobrze żeśmy się schyliłi.

(Pan Antoni)

*i na pierwszym piętrze mieszkałem*



*popadają w ruinę*

## DOM PRZY KRZYŻU (8)

Przy krzyżu na Markiefki jest taki domek. Znałam ludzi, co tam mieszkali, nazywali się Lewandowscy. Starzy mieli aptekę przy szpitalu i mieli dwóch synów, którzy tam mieszkali. I wtedy ten domek był bardzo zadbane. Ci bracia pojechali do Ameryki, dzieci zostały, a matka zachorowała. Nie ma tam już nikogo. [Swego czasu] chyba tam jacyś bezdomni mieszkali, ale teraz widzę, że jest deskami zabite i się wszystko rozsypuje. Aż się prosi, żeby to zburzyć. Więcej jest takich domków, tych bardzo starych, po sto pięćdziesiąt, dwieście lat, które są nieodświeżane, niekonserwowane, to popadają w ruinę.

(Pani Krystyna)

## ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY – ULICA MARKIEFKI 81a (9)

Pan Rataj miał swój zakład fotograficzny i ciekawe zdjęcia prezentował na wystawie. Dla nas, młodych, to była normalna rzecz iść oglądać „kogo dzisiaj ma na wystawie”. Jak się coś ciekawego zdarzyło, jak mu się udało zdjęcie, to je tam dawał. Ludzie żyli tą wystawą, to była ciekawostka. Poza tym, jakby nie było, oglądało się znajomych. Wszyscy do Rataja chodzili, bo innego fotografa tu nie było. To był nasz fotograf i nikt nie pomyślał, żeby gdzieś do Katowic jechać. To taka rzecz: nasza parafia, nasza szkoła, nasz fotograf i tak dalej.

(Pan Franciszek)



Ojciec założył ten zakład w 1946 roku. Widziałem, co się działo w zakładzie, jak się zmieniało. Przede wszystkim zmieniła się technika. Ludzie się trochę pozmieniali. Teraz przychodzą tu raczej stali klienci. Wczoraj była pani, która odbierała zdjęcia wnuków, a pięćdziesiąt sześć lat temu miała swoje ślubne robione. Mieszka w bloku naprzeciwko.

Dawniej okno [wystawę w oknie] częściej się zmieniało, więcej było mniejszych zdjęć. Jak ludzie szli do kościoła, tam z dołu ulicy, to każdy tutaj przystawał i patrzył. Niektórzy klienci nawet prosili, żeby ich do okna wystawić, bo chcieli się pochwalić, że ładnie wyszli, że mają dzieci. Fotografie zmieniały się, ale niektóre wisały po parę ładnych lat. W tej gablotce były kiedyś zdjęcia bobasów, bo dawniej można było dziecko sfotografować na kocyku na golasa albo w pieluszce. Oczywiście fotografie jeszcze czarno-białe. Wisały sobie przez jakieś piętnaście lat, a te dzieci już podrosły, miały po naście albo więcej wiosen, a tutaj jeszcze jako dzidzusię były. I nikt z tym nie miał problemu. Teraz wszyscy przechodzą, każdy pędzi, nikt się nie zatrzyma. Chociaż nie. Czasami w niedzielę, jak zauważyłem, jeszcze ktoś tam zwróci uwagę. Ale tak, to rzucą okiem, ale nie widzą. Teraz mamy tych różnych obrazów na co dzień wszędzie tyle, że już nie zwracamy na to uwagi. Ludziom łatwiej samemu zrobić zdjęcie, ale mnie jest ciężiej, bo nie ma już takiego zapotrzebowania na pracę fotografa. Chyba że zdjęcia do dowodu.

Ja tu jestem od dziecka. Mieszkaliśmy na górze, nad zakładem. Klienci mnie znają od zawsze. Stała tutaj taka ławka, na której siedzieli i czekali na zdjęcia i ja jako mały chłopczyk, miałem wtedy trzy-cztery lata, podchodziłem do nich z książeczką, z bajką jakąś, i oni mi czytali. Podobno tak było, chociaż sam tego nie pamiętam. Czasami któryś odważniejszy klient powie mi, że mnie zna od pieluch, ale zazwyczaj, choć mnie znają, to nie mówią w ten sposób.

(Pan Wojciech Rataj)



### MARKIEFKI 82 – MIESZKANIE GINTERA BENKARTKA (10)

Był taki cyrkuśnik tutaj, nazywał się Ginter Benkartek. On był fakirem, połykaczem ognia. To był jeden jedyny na Śląsku taki połykacz ognia. Mieszkał najpierw na Markiefkach 82, na parterze. Jakie on tam cuda wyrobił [wyczyniał dziwy], jak my na placu [na podwórku] siedzieli! Na stole to potrafił cztery fikołki wywinąć. Rozbijał butelki i kładł się na nich. Jak widział, że ludzie się zebrali, to robił występy. I nie pił, przede wszystkim nie pił. Miał taką deskę z gwoździami i kładł się na niej, a jego córka chodziła po nim. Ona miała z siedemnaście lat, ale była drobna. Była niepełnosprawna umysłowo i fizycznie, trochę niewyraźnie mówiła. Ona też na szkło wchodziła. Razem występowali w filmie „Grzeszny żywot Franciszka Buły”. Po odpustach chodzili, w parku też parę razy występowali.

Ginter zmarł i jego grób jest na cmentarzu w Bogucicach, ale nikt o niego nie dba i pewnie go za parę lat przekopią.

(Pani Eliza)

### KOŚCIÓŁ – UL. MARKIEFKI 89 (11)

Byłem ministrantem. Mój wujek, Antoni Czipura, był kościelnym w naszym kościele. Zawsze wstawał o piątej rano i szedł otwierać zakrystię, potem, zimą, palił [w piecu]. Kiedyś ksiądz nie mógł się dostać do kościoła, bo zakrystia była zamknięta. Zadzwoił do mojego ojca, że wujka nie ma. Tata poszedł do organisty Hoppego, który wpuścił mnie na chór. Stamtąd spuściłem się na linie i otworzyłem zakrystię. Okazało się, że mój wujek leżał na ziemi. Musiał się przewrócić i uderzył głową w płytki. Potem trzy tygodnie był w szpitalu i zmarł.

Jak byłem ministrantem, miałem wtedy około trzynastu–czternastu lat, to często spaliliśmy w kościele, bo były nocne dyżury. Co godzina zmiana. Tam stał taki katafalk – jakby taka trumna. To my w tym katafalku albo w zakrystii spali. Zawsze tak było na Wielkanoc i na Wszystkich Świętych. Trochę się przeżyło.

Jak służyliśmy na mszę, jak z ampułek do kielicha laliśmy wodę, to ksiądz dźwigał ampułkę, żeby mu za dużo nie lać, a jak wino – to opuszczał. A my i tak nie wszystko wlewaliśmy. Potem za ołtarz te dwie ampułki trzeba było zanieść i myśmy tą resztę wina wypijali.

Na gruszki chodziliśmy do Bogucic, do sadu przy kościele. Tam ksiądz miał grusze... Z księżdzami my dobrze żyli. W starym mieszkaniu mieliśmy taką starą toaletkę – takie lustro duże. To my se tam ołtarz zrobili z tego. Jak mój kuzyn Czesław przyjeżdżał, to my msze odprawiali. Postawiliśmy zdjęcia, kwiaty, wazon, świeczki. Po Czesławie już jako po młodym



*Z księżdzami my dobrze żyli*

*my w tym katafalku albo w zakrystii spali*

chłopaku było widać, że może iść na księdza i on prowadził tę mszę, a ja byłem ministrantem. Wiernych zwykle nie było, ale jak mama przyszła, to też się z nami pomodliła, bo ojciec to ciągle na kopalni pracował. Spotykaliśmy się w Bogucicach albo w Świętochłowicach [w domu Czesława]. On też miał ołtarz. Potem został księdzem. Napisali o nim książkę – o księdzu Czesławie Podleskim.

(Pan Antoni)

Poszliśmy kiedyś z przyjaciółką do kościoła na szóstą wieczorem. Mąż pracował na kopalni i miał iść na noc do pracy. Wychodził tak o wpół do dziewiątej, bo o dziewiątej był zjazd, no i nie mógł się spóźnić. A ja nie powiedziałam mu, gdzie idę. Poszłam do tego kościoła, a po mszy ksiądz mówi:

– A teraz zapraszam do salki na czytanie Biblii.

– Chodź, idziemy – przyjaciółka na to. Więc poszłyśmy. Wchodzimy do salki, a tam siedzą takie cztery babcie. Chyba przyszły się ogrzać, bo to było porą jesienną. Siedzą te babinki, ksiądz wszedł, spojrzał po nas i mówi:

– O, cieszę się bardzo, widzę nowe twarze!

No i już nie mogłyśmy się wycofać, już nie wypadało. A ona jeszcze mnie ciągnie do pierwszej ławki, bo zawsze do pierwszej chodzi. Więc ja siedzę tam, jak uwięziona, i tylko spoglądałam na zegarek. Fajnie ten ksiądz opowiadał o Biblii, ale już było po siódmej. Myślę sobie: „Matko Święta, co ten mój chłop pomyśli, będzie przeżywał, gdzie ona poszła. Synek w domu... Panie Boże, zrób coś, bo przecież muszę już iść! I w tym momencie światło zgasło! „Dzięki Ci, Panie Boże!” – westchnęłam w duchu z ulgą.

– To na dzisiaj koniec, zapraszam na następny raz – powiedział ksiądz.

A ja pomyślałam, że nie będzie następnego razu i zmykałam do domu. Pędziłam, żeby zdążyć na tę wpół do dziewiątej! Musiałam zmienić męża przy dziecku, bo jeszcze nie było takie duże.

– Gdzieś ty była tak długo? – usłyszałam od progu.

– A, nawet jakbym ci powiedziała, to byś mi nie uwierzył! – wymruczałam. I już mu nawet nie tłumaczyłam.

(Pani Jadwiga)

## GARAŻ PRZY ULICY LUDWIKA (12)

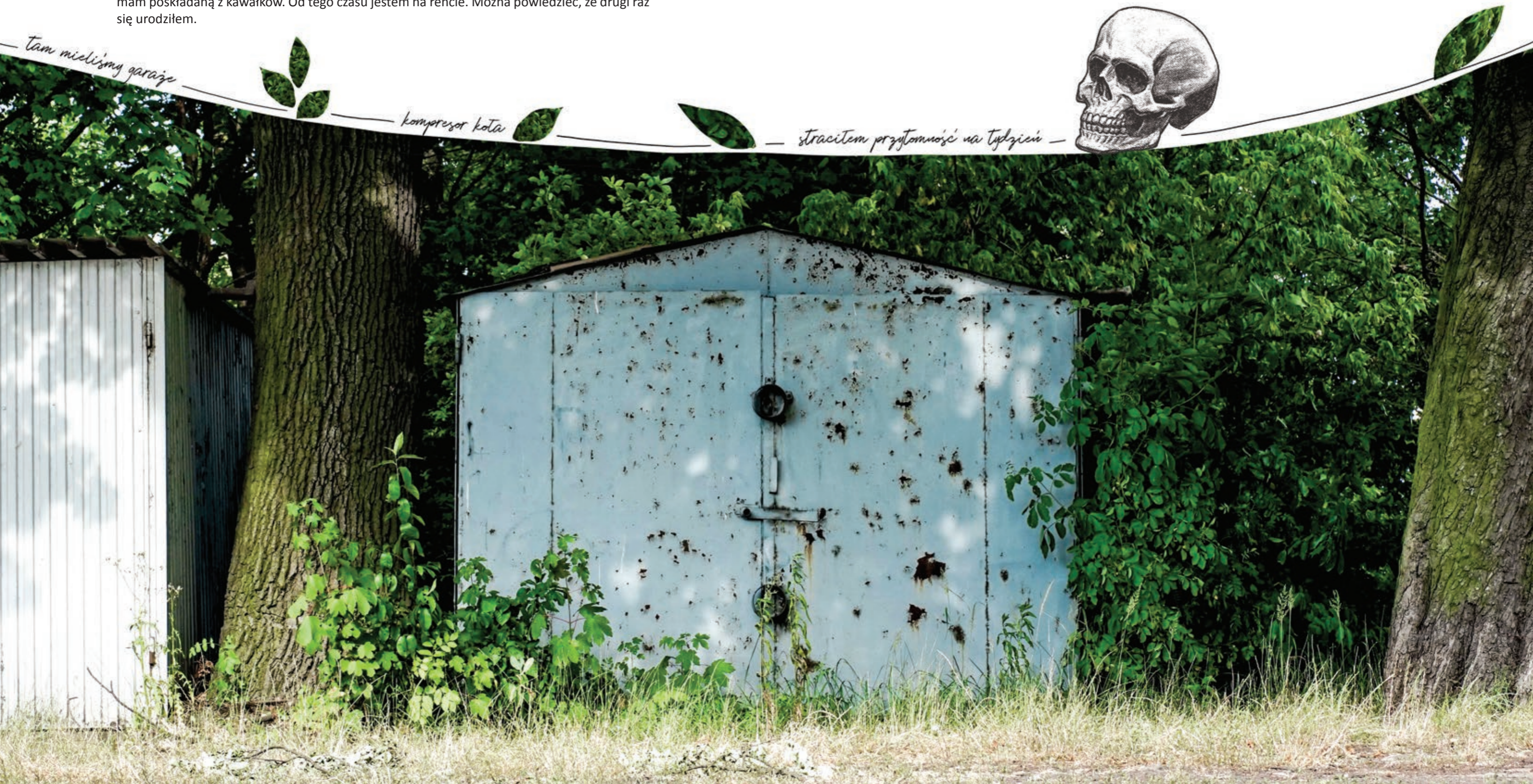
Jak zlikwidowano gospodarstwo na Wajdy, dostaliśmy taki mały teren na końcu ulicy Ludwika. Tam mieliśmy garaże, ojciec miał dalej ciągnik i zajmował się transportem, a ja mu pomagałem. Kiedyś wieźliśmy gruz przyczepą i zauważyłem, że było mało powietrza. Spieszyło mi się, bo na popołudnie miałem na kopalni. Szybko więc chciałem powietrza dopompować, żarówkę stopu wymienić w przyczepie i już byłem przebrany, żeby wskoczyć do samochodu i jechać na kopalnię. Podłączyłem kompresor do koła, w tym czasie wymieniałem żarówkę. Za jakiś czas syknął mi taki czujnik, że jest sześć atmosfer w kole, więc chciałem podejść i wyciągnąć wąż z koła. I w tym momencie to koło rozerwało. Wszystko poleciało na mnie. Straciłem przytomność na tydzień. Po szpitalach mnie wozili, w trzech mówili, że już nie ma co składać. Na szczęście w końcu wzięli mnie na stół operacyjny i do dzisiaj żyję. Część czaszki mam poskładaną z kawałków. Od tego czasu jestem na rencie. Można powiedzieć, że drugi raz się urodziłem.

Po wypadku ojciec załamał się i zmarł pół roku później, mając sześćdziesiąt cztery lata. Załamał się, bo bardzo sobie wyrzucał, że zniszczył mi życie.

Na Ludwika mój brat miał przedsiębiorstwo, prowadził transport ciężarowym samochodem, więc tam były dwa duże garaże i cztery czy pięć małych. Stała tam też duża altana. Na kwadratowym placu, siedemset metrów, spotykała się cała rodzina. Były ławy, krzeselka – czterdzieści osób spokojnie się mieściło. Kucharz był i gotował w altanie, orkiestra była, to trzeba przyznać, robiło się fajne imprezy.

Za garażami na Ludwika Kazimierz Kutz kręcił film. Porobili tam hałdy, zwały, gdzie ci powstańcy walczyli. Pokazali tam taką panoramę i widać było szczyty naszych budynków.

(Pan Franciszek)



## ALPY (13)

W domu zawsze były konie. Koledzy chętnie przychodzili, bo mogli na nich pojeździć. Braliśmy nie dwa, ale cztery–pięć i wyruszaliśmy na Alpy. To były częste wyjazdy. Na tym zdjęciu mieliśmy po dziesięć–dwanaście lat, ale dawaliśmy radę, chociaż konie były większe od nas. Jeden drugiemu pomagał wskoczyć, a najstarszy umiał wskoczyć sam. A jak nie, to się konia podprowadziło pod górkę, gdzie była skarpa i z tej skarpy się na niego wskakiwało. Czasem się spadło z konia, oj zdarzało się. Kto nas uczył? To jakby z automatu szło, od najmłodszych lat. Ktoś mnie tam posadził, poprowadził, a później już samemu się jeździło. I to nie tylko my, bo pełno sąsiadów było. Czasami, jak się wszyscy razem zgadali, to z dwadzieścia koni było na Alpach!

A za Alpami kursowała wąskotorówka z Szopienic do Bytomia. Kiedyś jeden z wagoników wioził podkłady kolejowe. Jakimś cudem pociąg się wykołubił i one spadły. Wagon w końcu wrócił na tory i odjechał, ale podkłady zostały. Wtedy starsi bracia Wojciechowski wymyślili, że można je wykorzystać i zbudować coś w rodzaju „zamku”. Oczywiście ich koledzy, młodzi chłopcy z Bogucic, pomagali w budowie. W końcu powstał taki „zajazd”. Tam konie się mieściły, można je było zawiązać i urzędować w środku, zabawy urządzać. Dla młodych chłopców to była niezła frajda. Tak wyglądało nasze życie! Teraz jest inny świat...

Całe młode lata jeździłem na koniach. Na ogół w niedziele, jak miały wypoczywać. Mówiliśmy ojcu, że wyprowadzamy je na Alpy, żeby się pały, bo tam rosta piękna trawa. Braliśmy dwa–trzy od nas, a sąsiedzi brali od swoich rodzin kolejne, bo tych gospodarzy było przecież więcej. Koni więc starczało, ale mieliśmy za mało siodła, dlatego osiodłane zwierzęta odstępowały innym, bo by spadli, a my z bratem spokojnie mogliśmy bez siodła jechać, jak Indianie. I galopowało się w kierunku Wełnowca, w kierunku Siemianowic – tam były takie dzikie tereny, zagajniki, można było nad strumykiem się zatrzymać. Widziało się też groby z czasów pierwszej wojny światowej: żołnierze pochowani w dzikim polu – tylko kupki ziemi, krzyżyki, zatarte nazwiska. Nie wiadomo już, kto tam leżał... W latach sześćdziesiątych zabrano te mogiły, bo w Siemianowicach budowano wspólny cmentarz dla tych nieznanym żołnierzom.

Tak jeździliśmy. Przeważnie wystarczyła godzina, bo wszystkich po tym czasie bardzo już bolało pewne miejsce. Niekiedy gdzieś tam posiedzieliśmy, konie naprawdę trochę się popały i znowu jechaliśmy przed siebie.

Później został ojcu jeden koń i ciągnik. W zasadzie jeździł ciągnikiem, a koń był dla parady. Od czasu do czasu jakiś sąsiad miał coś do przewiezienia, więc ojciec chętnie konia wypożyczał, żeby się rozruszał. Ostatni koń zginął, jak sąsiad jechał wzdłuż torów wąskotorówki, żeby gruz wyspać. Stały tam słupy linii elektrycznej i jakiś kabel był zerwany. Koń nadepnął na drut, przewrócił się i to już był koniec. I tak zniknął ostatni koń. Ojciec mówił na niego Bruno. Tak jak ludzie nie mogą się z psem rozstać, tak ojciec nie mógł się z tym ostatnim koniem rozstać. Ten koń był z nami aż do siedemdziesiątego drugiego roku. Mój dziadek pracował końmi do osiemdziesiątego piątego roku życia, bo rolnicy nie mieli emerytury. Ojciec mu pomagał – wiadomo, przy koniach jest dużo roboty. My jako dzieci też musieliśmy się włączyć. Fajnie było pojeździć na koniach, ale przecież trzeba po nich sprzątać i czyścić je.

Czasami też buszowaliśmy po Alpach na motorach. Wyjmowaliśmy nawet tłumiki, żeby „przerobić” nasze maszyny na „rajdowe”. Hałas był jak na żużlu! Wtedy wydawało nam się to bardzo fajne, bo to był jakby taki krosowy motor: silniejszy dźwięk i słychać nas było wszędzie.

(Pan Franciszek)

*W domu zawsze były konie  
częste wyjazdy*



*Alpy  
tam rosta piękna trawa*



*czasem się spadło z konia*



*Słychać nas było wszędzie*



## TRZY KASZTANY PRZY UL. WAJDY (14)

Mam na imię Franciszek. Kiedyś mieszkalem przy ul. Wajdy – tam, gdzie teraz jest biblioteka i rosną trzy dorodne kasztany (te drzewa to myśmy sadzili – byłem wtedy małym brzdącem). W tym miejscu na jednym podwórku stały trzy domy. W pierwszym mieszkalem ja, w tym pośrodku – kuzynka, Krystyna Miłek z domu Gilner, a dalej, z tyłu stał dom mojego dziadka. I to wszystko na jednym podwórku, a były tam jeszcze dwa typowo gospodarcze budynki – chlew, stodoła. Żyło się jak na wsi, chociaż to dzielnica Katowic. Całe podwórko otaczał tak wysoki płot, że sąsiad nie mógłby do nas zajrzeć – nawet z dwupiętrowego domu. Na placu kwitło życie wewnętrzne. Jest taki znany Lucjan Czerny i on u nas na podwórku często grał. To jest rówieśnik mojego kuzyna, razem do klasy chodzili. Pierwsze jego granie, na mandolinie, to właśnie u nas. Grali razem, tańce były, no takie imprezy, a nikt z sąsiadów tego nie widział. Mogli tylko usłyszeć.

Myśmy zawsze mieli pełno kolegów. Jak widać na zdjęciach: dzieci cała masa. Jedni wyrosli, przyszli następni, a wszyscy chcieli się pobawić na gospodarstwie, na tych furach, które tam stały. Bo dziadek oprócz gospodarstwa miał jeszcze tak zwane furmaństwo – woził węgiel, inne rzeczy. Miał mnóstwo furmanek różnego rodzaju – platformy takie, siaki. A w zimie były sanie, które konie ciągnęły. Tylko powiedzieć kiedy, to dziadek robił kuligi.

Na drugim podwórku chowali [hodowali] zwierzęta, świnie, konie, a na trzecim, jak robota się skończyła, to już nikogo nie było. Tam stały szopy – z sianem, słomą. Jak byliśmy nastolatkami, wymyśliliśmy, że to będzie nasze królestwo. Właziliśmy tam od strony ogródków, od tyłu, po dachu. Przecieliśmy deski i takie kłapy zrobiliśmy – to było wejście. Wygospodarowaliśmy sobie tam odpowiednio dużo miejsca, tak z dziesięć osób mogło się zmieścić. Dla chłopców to była fajna zabawa: gitara, śpiewy, w karty żeśmy grali. Ale potem ludzie z ogródków donieśli dziadkowi, że jakieś chachary [tobuzy] mu łażą po dachu. Dziadek, oczywiście służbista, zgłosił to do dzielnicowego. Ten przyszedł i poradził mu: „posypcie dach mąką, jak wyjdą, będą ślady, to ja już rozszyfruję, kto to jest”. A myśmy z bratem z boku podsłuchiwali i daliśmy reszcie cynk. Wszyscy uzgodnili, że teraz nie wchodzimy, tylko czekamy do pierwszego deszczu, aż mąka spłynie. Trwało to ileś czasu i nie złapali nas. Dziadek nie miał pojęcia, że między ludźmi, którzy mu tam wchodzą na siano, są jego wnuki. Rodzicom też się nie przyznaliśmy.

Kiedy mieli wyburzyć nasz dom, to budowaliśmy garaże przy [ulicy] Ludwika, żeby się tam przenieść. Wybieraliśmy co ciekawsze elementy, coś tam rozwalili ciągnikiem i potem przewoziliśmy. Można to było robić, dopóki nie wpadły ich buldożery. Resztę musieliśmy zostawić. Ja już nie chciałem tego widzieć, a już szczególnie, jak dom burzyli. Cośmy mogli, to wzięliśmy. Był taki łuk nad bramą: płomienie i od wewnątrz figurka świętego Floriana. Ojciec to wszystko przeniósł na Ludwika, tam taką altanę wybudowaliśmy.

Jak się wyprowadzaliśmy, nie wiedziałem, co zabierać. Mieliśmy piękny piec kaflowy i mój teść, który był zdunem, wziął trzy kafle z myślą, że sobie to gdzieś wykorzysta. Teść umarł, a ja w końcu, po tylu latach, przywozłem je tu. Oprawiłem płytą i razem z przeszło stuletnią kłódką z naszej stodoły powiesiłem nad zejściem do piwnicy. Teraz, co tam schodzę, to przypomina mi się, że to z mojego domu. Mam jeszcze inną pamiątkę z Bogucic – ma ze sto pięćdziesiąt lat! To jeszcze mój dziadek miał i zawsze, jak się u niego bawiłem, mówiłem: „Dziadek, ja to chcę!”. Obiecał, że na pewno dostanę. No i kiedyś przyniósł to i powiedział: „Tyłu jest chętnych, ale ja Tobie obiecałem. Pilnuj, żeby ci tego nie zwinęli, boś jeszcze młody”. Osobiście dał mi to do ręki i ja to trzymam do tej pory. To jest taki symbol rolnictwa. Chociaż ja rolnikiem nie byłem nigdy, ale z takiej rodziny pochodzę.

(Pan Franciszek)



### ULICA WAJDY - GOSPODARSTWO PAŃSTWA MILICÓW (15)

Ja jestem boguczanką z dziada pradziada. Moi rodzice, dziadkowie, pradiadkowie – wszyscy pochodzili stąd. Była to mała wioska i mieszkaliśmy na [przy ulicy] Wajdy, teraz to duże osiedle, a wtedy tam była nasza posiadłość – trzy domy, to znaczy duże podwórko z trzema budynkami – trzy familie razem. Dziadkowie nazywali się Milic. Byliśmy tacy zamożniejsi, bo to było wielkie gospodarstwo, jedno z największych w Bogucicach. Tam się wychowywaliśmy. A nas było dość sporo, bo u mamy było troje, mama, jej siostra i brat, i każdy miał kilkoro dzieci i do tego przychodzili z terynu koledzy i koleżanki. Prowadziliśmy takie „życie podwórkowe”.

Wyżyliśmy się wszyscy, nawet sąsiedzi. Jesienią to było kopanie ziemniaków na polach, gdzie teraz jest osiedle Wajdy – aż do numeru 10. Jak przyszła jesień, październik, a były wykopki, mój tata poszedł do Szkoły Podstawowej numer 13, bo tam siostra akurat chodziła do klasy piątej. No i poszedł do dyrektora, powiedział, że potrzebowałby pomocy dzieci przy tych wykopkach. Dyrektor zapytał w klasach, kto się zgadza? Wtedy były trzy piąte klasy, to wszystkie dzieci hurmem się zgłosiły. Dyrektor szkoły, pan Otręba, powiedział: „Kto z was chętny iść do państwa Miliców, Gilnerów, to jutro niech sobie przyniesie wiaderko i z nauczycielką pojedziemy wszyscy na pole”. To przez cały tydzień, od poniedziałku do piątku, nie cho-

dziliśmy do szkoły, a szliśmy z wiaderkami zbierać ziemniaki za maszyną, która je wykopywała. Każde dziecko zbierało, wysypywało na taką kupę, potem przyjechał furman i zbierał to. Na koniec dnia wszyscy dostawali tyle ziemniaków, ile mogli wziąć do wiaderka. Była to też wielka pomoc dla rodziców, bo dziecko przyniosło do domu takie fajne, swojskie kartofle. Przez te pięć dni każda mama się cieszyła. A na koniec było ognisko. Ziemniaki się piekło, tata zaopatrzył dzieci w kielbaski. Uczniowie chętnie przychodzili i cieszyli się, że mogą przeżyć coś innego niż w domu. Bo to były dzieci nie z gospodarstw, tylko z bloków, bo już wtedy były bloki, na Katowickiej, na Ludwika.

(Pani Krystyna)

U nas był dom otwarty. Mam gotowała w takich garach dziesięciolitrowych – najczęściej zupy. A wtedy była bida, bo to czasy powojenne. To jak z familoków przyszły dzieci, to każdy dostał zupkę lub ciasto, bo ciocia piekła punczki albo chrusty. To w niedziele dzieci biegły, bo już pachniało pączkami. A piekła tego wielkie ilości. Mój tata był rzeźnikiem, to robił wędliny. Tak że wszystkie nasze dzieci, kuzynowie, wszyscy się wyżyli. Na tym podwórku było tyle dzieci, że tak poznawaliśmy się. Tak poznała się moja siostra ze swoim [przyszłym] mężem. A mój mąż to chodził do brata [kolegował się z moim bratem] i tak się rozglądał, bo przecież były cztery siostry; co półtora roku to jedna. I on sobie mnie upatrzył i chodziliśmy, spotykaliśmy się. On nam nawet w gospodarstwie pomagał. Bardzo był chytny i jak przyszedł ze szkoły, to pomagał. I uczył się potem na mechanika samochodowego, na kierowcę. A mój ojciec kupił pierwszy traktor w Bogucicach. Bo kóniom był zakaz, tam nie wolno wjechać, na autostradzie nie mogły się kónie pokazać. I tak powoli zaczęli likwidować kónie. Teraz nie ma ani jednego w Bogucicach. Ten traktor ojca, Ursus, to był pierwszy w Bogucicach, nawet w województwie katowickim. A mój [przyszły] mąż, jak był mechanikiem samochodowym, to pomagał, a to przy silniku coś trzeba, a to z oponami coś zrobić. Więc zaprzyjaźniliśmy się i zaczęliśmy chodzić ze sobą. Po pięciu latach narzeczeństwa pobraliśmy się i żyjemy dobrze od pięćdziesięciu sześciu lat.

Tego naszego gospodarstwa już nie ma, wszystko wyburzone. Moja mama przez to wyburzenie dostała udaru i zmarła. Miała sześćdziesiąt jeden lat. Ja oczywiście wszystko pamiętam. Najpierw, zanim wyburzyli, to bardzo długo, chyba ze trzy lata, były tarcia. Bo oprócz naszych budynków to były też inne – nie gospodarstwa, ale takie małe, prywatne domki jednorodzinne, jeszcze przedwojenne. Wykupili to [władze] za bardzo niską cenę, dziewięć złotych za metr kwadratowy ziemi. Bardzo się na to ludzie oburzali.

Przyszła wtedy taka pani z urzędu, spisała to wszystko. Wtedy dostali przydział na mieszkanie do Sosnowca. Mama odmówiła, ponieważ była Ślązaczką z dziada pradziada i nie chciała tam. Pisali do Gierka [rodzice], pojechali do niego, wreszcie tyle wydeptali, że mogli na swoim, ale musieli poczekać, aż na tym ich terenie wybudują blok i tam dostali mieszkanie. Nie na Wajdy, ale obok, na Modrzewiowej, bo tam przyndziej wybudowali. Mama dostała tam przydział i jej siostra. Ale mama nie doczekała się już tego – jeszcze w tym starym domu, na pierwszym piętrze przewróciła się i zmarła. Nie mogła tego przeżyć.

Mieliśmy takie fajne meble, gdańskie, co w tamtych czasach wszyscy chodzili podziwiać. One były takie na pięć metrów, duże kredynsy – dymbowe, porzundne – zygar taki super wielki. [Martwiliśmy się] do bloku się to nie zmieści, gdzie to wziąć.

A teraz widzimy, że tam, na tych naszych polach wszędzie są budynki. Kiedyś tam mieszkaliśmy, a teraz został jedynie kasztan. On był sadzony przez naszych dziadków.

(Pani Krystyna)

## POMNIK POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH (16)

To zdjęcie zrobili dokładnie pięćdziesiąt lat po powstaniu, przy pomniku na Wajdy. Mój ojciec jest tu przedstawicielem rolników, tu są przedstawiciele górników, hutników. Uroczystości przy tym pomniku były kiedyś częste, grała orkiestra górnicza. W święta kościelne też wszyscy byli ubrani w stroje galowe, śląskie, asystowali przy tym baldachimie, który rolnicy nieśli na zmianę z górnikami. Taka była tradycja.

Życie młodzieży toczyło się kiedyś dookoła pomnika powstańców. Teraz to tam tylko pomnik jest, jakaś trawa, wertepy, ale dawniej mieliśmy piękny park, za pomnikiem mnóstwo ławek, alejki, dodatkowe klomby, kwiaty. Młodzieży przychodziła „na bieżąco” – jeden rocznik wyrastał, to następny się tam spotykał. Były randki. No bo na przykład przyszły dziewczyny – no pod pomnik, były usprawiedliwione – a tam akurat chłopcy. Daleko szukać – moja siostra poznała w parku przyszłego męża i do dzisiaj żyją razem. Oboje są z Bogucic, szwagier mieszkał tu – niedaleko. Przychodził na te ławki, ona też tam przychodziła, no i tak się zaczęło.

Zupełnie na tyłach parku grało się też w piłkę, a do samej ulicy Wajdy był stamtąd taki mały zjazd. Za bajtla [w dzieciństwie] zjeżdżało się tam na sankach. To wszystko działo się pod moim domem.

Pod pomnikiem pojawiał się również Albin Kotlorz – znany w okolicy, bo był ranny w powstaniu i miał drewnianą nogę. On z domu wychodził o kulach, siadał na ławce i tam opowiadał młodzieży o swoich przeżyciach. Ludzie lubili go słuchać. Opowiadał o froncie pierwszego powstania, który przechodził z Sosnowca przez Dąbrówkę, przez Bogucice, do centrum miasta.

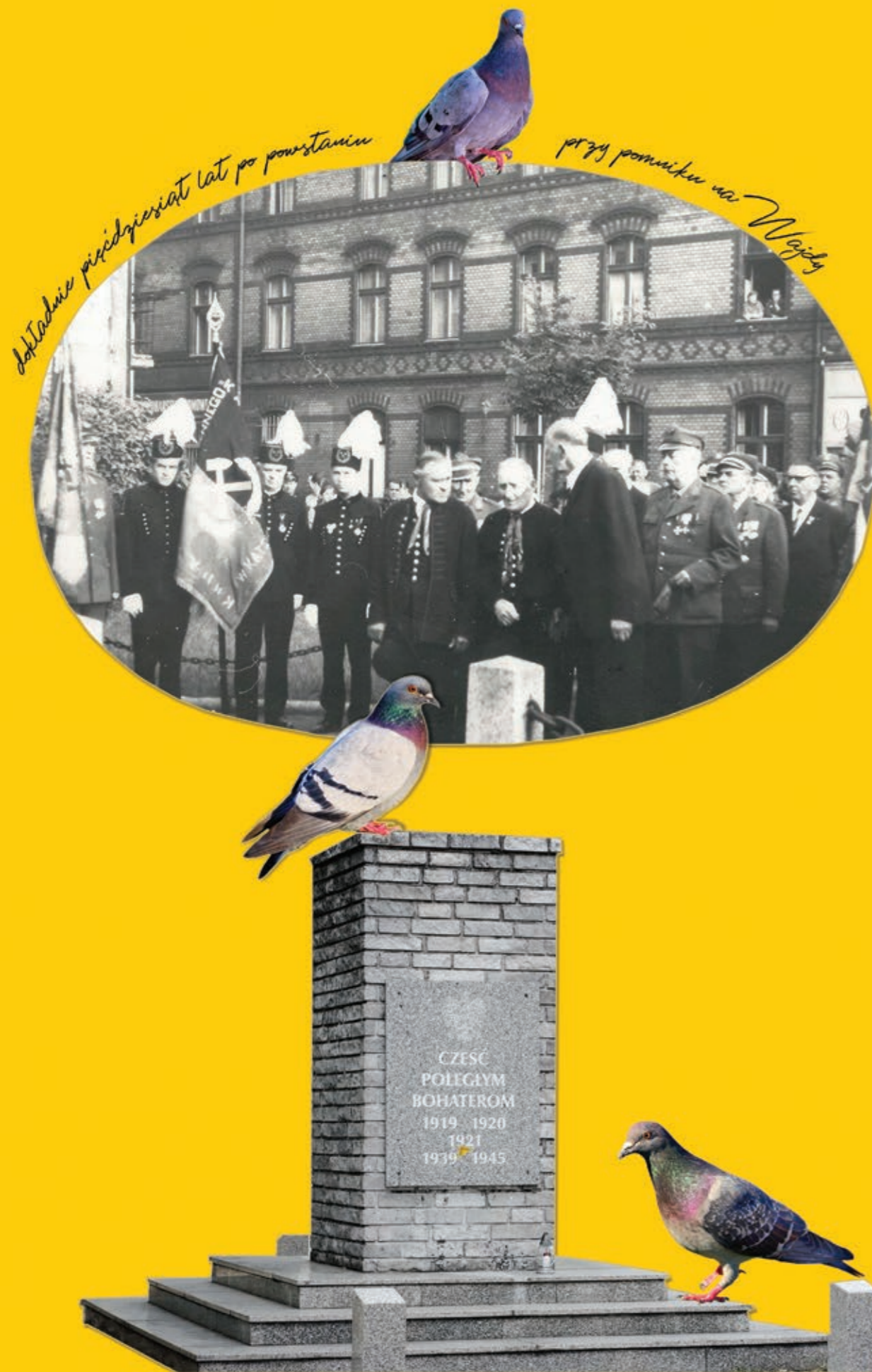
(Pan Franciszek)

## ULICA ŚCIGAŁY (17)

W Bogucicach też czasem kradzieże są, ludziom biżuterię kradną, z szyi zrywają. O pierwszej w południe szłam przez osiedle Ścigały ze sklepu. Idę, trzymam torebkę i naraz czuję, że ktoś mi coś z tą torebką robi... To było na takim skwerku, gdzie są ławeczki, a po jednej i drugiej stronie bloki. I naraz czuję, że ktoś mi chce tę torebkę wyrwać. Ja się szamotałam, walczyłam, nie dałam sobie tej torebki wyrwać. To był jakiś młody chłopak. Chudziutki. Ludzie tam patrzyli przez firanki, ale nikt nic nie zrobił. Dopiero jakiś straszny pan akurat wyszedł z klatki i ten chłopak się spłoszył. Puścił torebkę i uciekł. A jeszcze na koniec mnie kopnął w nerki – taki pieron! Wstałam, spodnie potargane, brudna byłam, bo tam trawa, ziemia, kolana potrzaskane.

A na drugi dzień jedna pani mi mówi: „Ojejku, jaka pani była dzielna, jak pani walczyła z nim”. A ja na to: „Wie pani co, niech mi pani nic nie mówi – pani patrzyła przez okno, to wystarczyło jej otworzyć i krzyknąć, że policja czy coś takiego!” No, nikt nie pomógł, a potem mnie wszyscy żalowali. Taka znieczulica jest! Ale torebkę zachowałam, bo sobie uświadomiłam, że właśnie podjęłam w banku trochę gotówki, miałam tam dokumenty wszystkie, telefon, klucze. Ja nie jestem bardzo waleczna, ale wtedy wiedziałam, że nie mogę tej torebki oddać! Jak chodziłam do szkoły podstawowej, to bardzo lubiłam sport. Grałam w siatkówkę, były zawody między szkołami na Stadionie Śląskim. Potem skok w dal, bieg przez płotki. Jestem wysportowana i z tym nastolatkiem dałam radę.

(Pani Inga)







*Przedziesiąt lat na parterze żyłam  
dzieciństwo bardzo miłe wspominałam*



*ziemi nawieźpli, porobili chodniki, asfalty i teraz jest luksus*



### MIESZKANIE PANI GERTRUDY - ULICA KATOWICKA (33)

Mnie się cynamon z domym kojarzy. Na Katowickiej 33, na tych 37 metrach mieszkało nas osiem osób, mama też. Mama bardzo dużo piekła – to ciasto z marchwią, to z jabłkami – przetwory jakieś, dżemy robiła. Przeważnie z jabłek, bo miała taką kuzynkę i my do niej po owoce jeździli: po jabłka, czerwone i czarne porzyczki [porzeczeki], agrest. Mnie najlepiej z tego jabłecznika posypka smakowała. Nawet obierki z czerwonych jabłek mama przetwarzała – to była nasza herbata. Suszyło się je i w zima [zimą] zawsze cynamonu trocha do tego się dodawało. Tak że mnie się mieszkanie z cynamonem kojarzy. Ale mama robiła dużo z bele czego, bo ojciec nie wrócił z wojny, a nas było siedmioro. Jo nie widziała mojej mamy spać. Jo wstawałam, mama już robiła, jo przysłałam spać, mamy nie było, bo była w robocie – ona jeszcze pracowała w lampach żarowych w Heljosie. Tak że ciężko było, ale niy powiym, żeby bieda była.

W niedzielę na całej Katowickiej pachniało rosółem. Rosół na całych Bogucicach w niedzielę był. Obowiązkowo. Ręcznie robiony makaron do tego, czyli nudle. Potem szło [można było] kupić takie maszynki. Ale moi chłopcy już nie chcieli jeść tych [nudli] ukrzynconych maszynką. Oni dostali to i wyciepli [wyrzucili]. „To mo być ryncznie krojune” – godali. Do dzisiaj mój młodszy syn, jak jest jakieś przyjęcie albo co w niedziela, to ryncznie robi makaron. A makaron zawsze mój mąż robił. Z kila mąki, bo te świadectwa kroilo się z kawałka ciasta i na piec się rzucało, i robiło się te podplomyki. To się świadectwa nazywało.

Pięćdziesiąt pięć lat na parterze żyłam, a jak się przeprowadzałam na drugie piętro, to nawet sobie klameczki wzięłam i u góry mam teraz klamki po rodzicach. Wiem, że to ojciec dotykoł, że mama... Ja miałam siedmioro rodzeństwa, zostałam sama. A jedną klameczkę to nawet mam w takiej szkatułce. To jest talizman. Mnie się tu bardzo dobrze żyło, dzieciństwo bardzo miłe wspominałam.

Na parterze też męża poznałam. W domu. Miałam okno na ulicę. Czyściłam je, on przechodził i stanół. Był taki nachalny, że bez przerwy potem przychodził pod okno. No i raz, to – nie zapomnę – było w sześćdziesiątym roku, 1 maja. Oczywiście trzeba było iść na pochód. Przychodzę z pochodu, patrzę, a on już stoi na rogu.

– Może by my gdzieś się prześli?

– Jo jest teraz zmynczono, to niy moga.

A w ten dzień właśnie śnieg zaczął padać, jak diabli.

– Człowieku, gdzie ty chcesz chodźć? – mówię. – Jak przyniesiesz narty albo sanki, to pójdziemy.

I on te sanki przyniósł! Taka historia – pod oknym go poznałam. Mama zawsze mówiła: „siedz w kuncie, bałamuncie, przydzie czos, znojdu cie. Nie lotej nikaj”.

Wesele miałam w domu – trzydzieści siedem metrów, a orkiestra z trzech osób się składała. Meble się wynosiło. Gości to nawet nie wiem ile, ale bardzo dużo, bo my po kątach wszyscy siedzieli i jeszcze w kuchni, bo się nie gotowało w domu, tylko u sąsiadów. Większość weseli [weseli] robili w domu, bo nie było jeszcze sali. Żyło się jak w jednyj rodzinie – tu się przebierali u sąsiadów [w dniu ślubu], tam gotowali u sąsiadów. Wszyscy przynosili, co kto miał. A jak była godzina dwunasta na tych weselach, to sprzątanie stołu, wszystko się zabierało. I po Katowickij cały taki orszak ślubny wężykiem chodźć. O dwunastyj w nocy! I śpiewali! Takie były wesela na Śląsku.

Potem przed blokiem posadziliśmy z mężem drzewa i trawę, bo tam nic nie rośło, zwirowisko było. No, a później ziemi nawieźli, porobili chodniki, asfalty i teraz jest luksus.

(Pani Gertruda)





*Ja tu przyjechałam w związku z pracą*

*Tych domków to chyba setka była*

#### PRZEDSZKOLE NR 49 – UL. PUŁAWSKA 9 (19)

Ja tu przyjechałam w związku z pracą w przedszkolu (nr 49) i moim mężem, który pracował na kopalni. Bardzo mi się podobało w tej dzielnicy, wszędzie było blisko. Mieszkam tu już prawie czterdzieści pięć lat.

Przyjechałam tu w 1975 roku z Głównyc jako gorolka i bardzo się bałam, bo w pracy same Ślązaczki. Tam pracowałam w domu dziecka. Bardzo ta praca była dla mnie ważna, bo miałam blisko na Ścigały, a budowali już bloki na Ścigały. Więc słyszałam, jak byłam z dziećmi w klasie: „O, gorolka do nas przyjechała. Jak to będzie, jak to będzie?” Ale tak powoli, powoli, jakoś mnie polubili. Mnie było Maria, ktoś tam powiedział „Marylka”, no i tak zostało do dzisiaj. Ale polubili mnie – i dzieci, i rodzice. Tu mam różne zdjęcia z przedszkola. To – z ostatniego dnia pracy. Płakałam, jak odchodziłam i dzieci za mną płakały.

(Pani Maria)

#### FIŃSKIE DOMKI (20)

Tych domków to chyba ponad setka była – dla Polaków, którzy po wojnie wracali z Francji. Pamiętam, że w latach osiemdziesiątych zaczęli je burzyć. A jak pracowałam w przedszkolu, to chodziłam tam z dziećmi. Dziadkowie siedzieli na ławkach i czekali, kiedy z nimi przyjdę, bo one: „O dziadku! Babciu!” wołały do nich. A oni się cieszyli z tego bardzo.

– To przyjdźcie jeszcze jutro – prosili i dali im tam po cukierku.  
Tam były piękne ogrody i sady. Jak to wszystko pięknie kwitło, te jabłonie, te wiśnie. Dzieci pytały:  
– Pójdziemy na spacer?  
– No mamy przecież zajęcia w przedszkolu – tłumaczyłam.  
– Ale chodźmy na spacer, chodźmy do tego dziadka, do babci! – prosily. Więc w końcu szliśmy.

Jednego razu, to był jakiś osiemdziesiąty rok, taki Jareczek, on teraz jest lekarzem, siadł sobie przy oknie i mówi:

– Pani Marylko, niech pani tu przyjdzie, tu kapala kapie.  
Ja myślę, co tu dziecku odpowiedzieć, co to jest kapala kapie? Myślę, myślę, patrzę za okno, a tam... kopara kopie. On zmieniał o na a. No to mówię mu:

– Jareczku, co tam, kopara kopie, tak?  
– Tak, kapala kapie! Pani Marylko, ale pland też kapie.

Myślę, myślę, Matko!, co to znaczy i mówię:

– Jareczku, prąd też kopie?  
– Tak, pland kapie też.

Wtedy zaczęli wyburzać te domki.

(Pani Maria)

#### KULIGI NA KUKUCZKI (21)

Mój dziadek oprócz gospodarstwa miał jeszcze tak zwane furmaństwo, dlatego zimą robił kuligi. Zawsze zbierało się mnóstwo chętnych, pięćdziesięcioro, sześćdziesięcioro dzieci ze swoimi sankami. Szczepiało się je razem, potem zaczepiało do dużych dziadkowych sań, które ciągnął koń, i... wio! Jechaliśmy. Takie kuligi to probostwo u nas zamawiało dla tych dzieci, które na religię chodziły. W dużych saniach na miękkich łąwach proboszcz czy wikary chętnie siadali. Ale raz taki młodszy wikary w Bogucicach, ksiądz Gopek, chciał koniecznie na ostatnich sankach siedzieć i tak zrobić. Jechaliśmy tu, na Dąbrówkę też. Ulice były tak zaśnieżone, że bez problemu. Na [dzisiejszym] osiedlu Kukuczki stały fińskie domki, między nimi tyle uliczek, że to było idealne miejsce do kuligów. Wtedy dwa konie ciągnęły duże sanie i jakieś pięćdziesiąt doczepionych małych sanek. A na końcu ten młody ksiądz. Na Dąbrówce jechaliśmy i na zakręcie on krzychał: „szybciej, szybciej!” Woźnica przyspieszył, większość sanek było już na prostej, a te ostatnie jeszcze nie. To tak rzuciło, że zahaczył o znak drogowy i z sanek wyleciał. Już nie wołał „szybciej”. A dzieci miały radochę, bo ksiądz wyleciał.

(Pan Franciszek)

### BOISKO PRZY SZKOLE – ULICA WRÓBLEWSKIEGO 42 (22)

Chodziłem do szkoły na Wróblewskiego – wtedy to była niemiecka szkoła. Nauka, jak nauka, aby ino [tylko] ją skończyć. Zajęty byłem ino piłką.

– Zadanie robić! – słyszałem od mamy.

– Nie, bo jest mecz!

Tata był za mną:

– Idź na mecz, bo musisz grać.

Jak się wojna skończyła, poszedłem do polskiej szkoły. Trudno było się na polski język przestawić, ale nauczycielka była dość możliwa i tata, i mama pomagali.

Byłem piłkarzem – z okna domu widziałem boisko i trybuny. Tam trenowałem. Mój ojciec był w „Sokołach”. Od malutkości chodziłem na mecze w Bogucicach, no i wciągnęło [wciągnęło] mnie to. Zapisalem się do klubu. Najpierw zacząłem grać w juniorach, a potem w pierwszej reprezentacji. Wtedy bramki były z drucianej siatki. Niekiedy, jak graliśmy do wieczora, tośmy słuchali, czy się odbiło od tej siatki, bo to było słychać. Trybuna była drewniana i schodki do góry. Największa kara dla mnie wtedy? Jak mi mama nie pozwoliła iść na mecz. Oni grali, wrzeszczeli, a ja musiałem siedzieć w domu i przez okno patrzeć. Jak widziałem, że ktoś strzelił, to aż mnie ruszało.

Jak ze szkoły nie przyszedłem od razu do domu, to było lanie. Mama czasem nie panowała nad sobą, biła, targała. Parę razy tak się zdarzyło, bo po lekcjach chłopcy do mnie:

– Gromy?

– Gromy!

No to torby do krzaków i mecz. Naraz słyszę:

– Ty, mama, mama idzie!

To teraz jo buch do krzaków. Schowałem się.

– Był tu Tosiek?

– Nie! Nie było go. On już dawno do domu poszedł.

No wiedziałem, że lanie będzie. Ale mama poszła.

– Chłopcy, gramy dalej!

Ale potem, jak do domu przyszedłem, to dookoła stołu była gonitwa i... lanie mnie nie minęło.

– Już nie będę, już nie będę, mamusiu! – obiecywałem.

A na drugi dzień to samo zrobiłem, bo ta piłka to mnie ciągnęła niesamowicie.

Potem domki pobudowali, a szkoła została. Wtedy sporo młodzieży grało, niektórzy poszli do innych klubów, do Górnika Zabrze, a ja poszedłem na Kleofas, bo dostałem mieszkanie na Wróblewskiego.

(Pan Antoni)

### ULICA WRÓBLEWSKIEGO 9 (23)

Tu na Wróblewskiego, pod dziewiątką, mieliśmy takiego pana, który był z gór i wyśpiewywał pieśni góralskie, co zresztą nie było złe, on nie robił krzywdy nikomu. Siedział sobie na ławce i śpiewał, grał na organkach. Ale on tak lubiał do nocy śpiwka, do dwunasty, do pirszyj, więc tym z bloków to przeszkadzało, bo chcieli już spać. Ale to było wesołe, pogodne. Nazywał się Golec i to był jakiś dalszy wujek od Golców.

Pomyśleć, że dawniej wesela były na dworze i nikomu to nie przeszkadzało. Robiło się podesty z desek, była orkiestra i wszyscy razem tańczyli – i goście weselni, i lokatorzy. Robiło się ściepę [zrzutkę] na preznt.

(Pani Krystyna)

### ULICA WRÓBLEWSKIEGO 11 (24)

Tu, w moim domu prowadziłam sklep, a skończyłam dopiero trzy lata temu. Pasowało mi to, bo kontakt z ludźmi był. I dlatego ja tych ludzi wszystkich znam – nawet z rozmiarów. I oni też mnie znają. Całe rodziny się u mnie ubierały. Zaczęłam od dżinsu, ale potem była i odzież damska, i męska, i dziecinna [dziecięca]. Piętnaście pierwszych lat to był taki ruch, że wszystko zamawiałam na rozmiar, mogłam tu przesywać, miałam krawcową. I było OK. Ale potem, te ostatnie lata, jak nastały już supermarkety, to się ludzie tam zaczęły ubierać. A potem pokazały się tańsze [ubrania], to ludzie pomału odchodzili.

Myślę, że opinię tu mam dobrą, bo raczej z wszystkimi w zgodzie żyję. Dopóki prowadziłam sklep, to się dobrze czułam. Lepiej, jak człowiek pracuje, jest w ruchu. Nie ma się co zawczasu wybierać się na emeryturę i w domu siedzieć.

(Pani Krystyna)

### FABRYKA CUKIERKÓW - ULICA WRÓBLEWSKIEGO 13 (25)

Czy Bogucice to słodycz w życiu? Słodycz była kiedyś, jak młodość była. Ja mieszkam tu, gdzie stała fabryka czekolady, tych słodyczy Prodrim. Wszędzie pachniało słodyczami. Niektórzy pracownicy wynosili je do domu: jak krzywo czekolada wyszła, to taką bez opakowania przynieśli. Słodkie życie jest dobre. Czekoladą można wszystko załagodzić – smutek, no wszystko po prostu. Przeprosić kogoś czekoladą. Ja lubię dać, choć nie mam za co. Jak byłam młoda, mogłam jeść czekoladę, teraz ją lubię, ale już nie mogę jeść.

(Pani Irma)



*Bogucice to była dzielnica górnicza*

# Bogucice

*tam się wychowywaliśmy  
prawie całe życie mieszkaliśmy w Bogucicach  
Podobno tak było, chociaż czasami tego nie pamiętam*

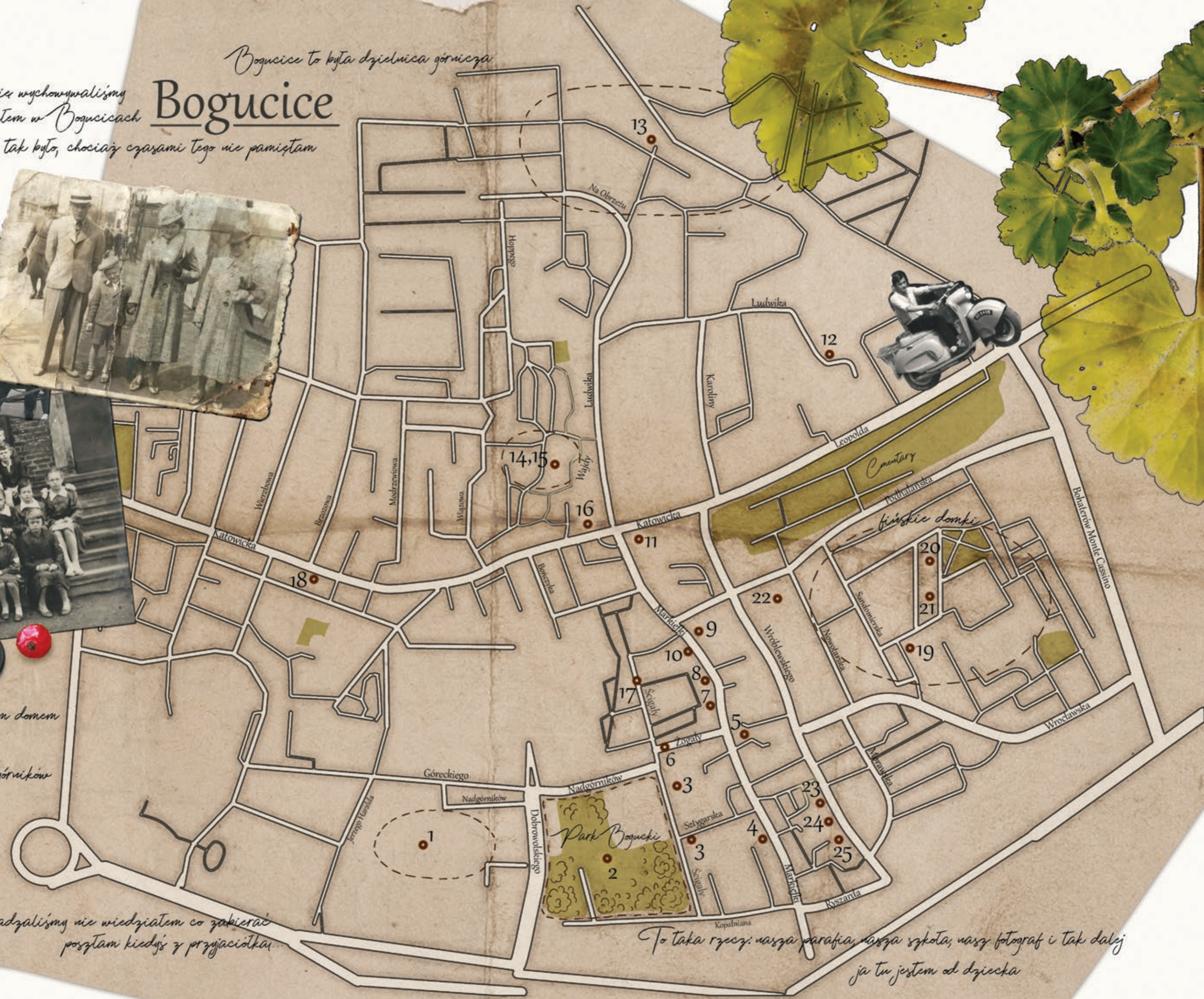


*to wszystko działo się pod moim domem*

*matko już jest górników*

*...poznaliśmy się tutaj*

*Jak się wyprawdzaliśmy nie wiedzieliśmy co zabierać  
poszłam kiedyś z przyjaciółkami*



*To taka rzecz: nasza parafia, nasza szkoła, nasz fotograf i tak dalej  
ja tu jestem od dziecka*

#### ORGANIZATOR PROJEKTU

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach

#### PARTNERZY

Bogucice moje miejsce na ziemi. Program aktywności lokalnej  
Miejski Dom Kultury „Bogucice-Zawodzie”  
Zespół Szkolno-Przedszkolny nr 4 w Katowicach  
Muzeum Śląskie  
Rzymskokatolicka Parafia św. Szczepana w Katowicach-Bogucicach

#### PROWADZENIE WARSZTATÓW OPOWIADANIA HISTORII

Anna Jadwiga Nowak

#### WARSZTATY TEATRALNE

##### Prowadzący:

Katarzyna Prudło, Grzegorz Eckert

##### Opieka pedagogiczna:

Barbara Trela-Szyma

##### Uczestnicy:

Renata Haczykowska, Julia Kierepko, Katarzyna Mańka, Emilia Maroń, Patrycja Marzec,  
Weronika Miozga, Zuzanna Pogońska, Sandra Sobijanek, Alicja Szczęsna, Zuzanna Tyc,  
Dawid Katolik, Artur Michnik, Maksymilian Skrzydło, Grzegorz Studniarz, Łukasz Tarnówka

#### CZYTANIE UTEATRALIOWANE

##### Dramaturgia:

Kuba Kapral

##### Reżyseria:

Robert Talarczyk

##### Aktorzy:

Katarzyna Prudło, Ewa Reymann, Piotr Gabriel, Mirosław Kotowicz, Dawid Ściupidro

#### SPACEROWNIK BOGUCICKI

##### Koncepcja i realizacja:

Anna Jadwiga Nowak, Aleksandra Zawalska

#### POMYSŁODAWCA I KOORDYNATOR PROJEKTU

Anna Jadwiga Nowak

#### OPRACOWANIE I REDAKCJA PUBLIKACJI

##### Transkrypcja opowieści:

Magdalena Sęk

##### Redakcja:

Aleksandra Niesyto

##### Konsultacja historyczna:

Przemysław Piwowarczyk

##### Autor zdjęć:

Paweł Szymkowiak

##### Ilustracja na okładce, skład i opracowanie graficzne:

Katarzyna Jerzyk

Publikacja jest częścią projektu „Bogucickie opowieści” dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Więcej informacji o projekcie: <https://ateneumteatr.pl/bogucickie-opowieści/>

PUBLIKACJA NA LICENCJI CREATIVE COMMONS: UZNANIE AUTORSTWA – NA TYCH SAMYCH WARUNKACH 3.0 POLSKA (BY - SA), (<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/legalcode>)



##### WYDAWCA:

Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum”  
ul. św. Jana 10, 40-012 Katowice  
tel. 32 253 82 21  
[www.ateneumteatr.pl](http://www.ateneumteatr.pl)  
[fb/ateneumkatowice](https://www.facebook.com/ateneumkatowice)



**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

ISBN: 978-83-922333-7-4



**BOGUCICE**  
MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

**Muzeum  
Śląskie**





Drogi Czytelniku, oddajemy w Twoje ręce niecodzienny przewodnik po jednej z najstarszych dzielnic Katowic. Cóż jest niezwykłego w tej publikacji? Niniejsza broszura nie stanowi ani historycznego opracowania, ani typowego informatora dla turystów, a jej autorami nie są naukowcy czy artyści, ale seniorzy z Bogucic. Każdy z nich dzieli się tu doświadczeniami, wrażliwością oraz refleksjami na temat Bogucic.

